

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 2 ruble (za odnośnienie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 2 ruble 25 kop.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 1 rub.; na 1 stronie okładki 60 kop.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 30 kop.; na 3-ej stronie okładki i ogłoszenia zwykłe 25 kop.; Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 75 kop. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rub., przy Nadesłanych 8 rub.; na ostatniej stronie 7 rub. i wewnątrz 6 rub. Artykuły reklamowe 175 rubli za stronę.

ŚWIAT

Rok XII. № 2 z dnia 13 stycznia 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



TOW. AKC.

BRACIA JABŁKOWSCY

BRACKA 25

MATERJALNY

WEŁNY,
BAWELNY,
JEDWABIE

BIELIZNA

DAMSKA,
MĘSKA,
DZIECIĘCA

WYPRAWY SŁUŻEBNE

OD 300 RP

OKRYCIA
KOSTJUMY
SUKNIE
BLUZKI

SUKIENKI DLA PANIENEK — UBRANKA DLA CHŁOPCÓW

OBUWIE
DAMSKIE
i DZIECIĘCE

Prosimy uprzejmie Szanownych Prenumeratorów o rychłe wniesienie przedpłaty na rok 1917. Numery nieopłacone będą wstrzymane.

ADMINISTRACJA „ŚWIATA”.

**Pamiętajcie
o wpisach szkolnych.**

Wszelkie ofiary przyjmuje
Administracja „Świata”.

Z zamętu narodowościowego.

Od Napoleona III, który z genialną intuicją odczuł polityczne znaczenie dla Europy kwestyi narodowościowych, a raczej już od romantycznej „wiosny ludów” r. 1848, toczy się problem ustalenia losu różnych obudzonych, niewyzwolonych i niejednoczonych narodów. (Sprawa polska aż do połowy XIX w. była sprawą raczej państwowo-polityczną, niż ściśle narodowościową). Europa po-Meternichowska ujrzała przed sobą naraz cały rój niedostrzeganych przedtem plemion, które wyszły jakby z pod ziemi i jęły upominać się o miejsce pod słońcem. Niektóre z nich zdążyły od tego czasu zdobyć sobie własne podwórko polityczne, jak np. ludy bałkańskie. Inne, przeszedłszy okres mgławicy plemiennej, skryształizowały się w narody, świadome swego bytu i swoich celów. Jak żywotną jest sprawa tych najmłodszych członków niezbyt

harmonijnej „rodziny” europejskiej, świadczy fakt, że obie wielkie koalicje dzisiejszej wojny wypisały na swych sztandarach między innemi hasło — wyzwolenia, względnie ustalenia bytu małych narodów. One same gwałtownie dają znać o sobie światu bądź potopem literatury, bądź nawet strzałami karabinowemi. Niedawno „małe narody” odbyły demonstracyjny zjazd w Szwajcaryi. Optymiści twierdzą, że jednym z nieuniknionych następstw wojny światowej będzie jeśli nie rozwiązanie, to przynajmniej bardzo znaczne posunięcie naprzód ku rozwiązaniu różnych kwestyi narodowościowych w Europie.

Sprawa jest w każdym razie dużo trudniejsza i bardziej zagmatwana, niż mogłoby się zdawać pospiesznemu — optymizmowi. Pominawszy wszystkie możliwe komplikacje praktyki politycznej, brak dla

całkowitego wygładzenia tych kwestyi z powierzchnią ziemi warunku tak elementarnego, jak: definicya narodu. Dotychczas jeszcze nie zdobyła się teoria na zgodne określenie: co to jest naród? Pospolicie podaje się jako główne czynniki, warunkujące istnienie narodu: wspólność terytorium, własny wspólny język, oraz wspólność tradycyi, jako najważniejszy wyraz wewnętrznej więzi duchowej. Jednakże życie drwi sobie z tego sprawdzianu; wytworzyło ono w tej dziedzinie w ciągu długiego rozwoju historycznego bądź okaleczenia, bądź wręcz dziwactwa i dziwłagi, wobec których teoria staje z otwartymi ustami. Irlandczycy zatracili niemal ze szczerem swój własny stary język celtycki — pozostali przecież niewątpliwie oddzielnym narodem. Co więcej, przyjęli język swych dziedzicznych wrogów, zachowując mimo to wobec nich całą nieprzyjazną odrębność. Więź tradycyi okazała się tu silniejszą od więzi języka. Żydzi zatracili i język własny i terytorium. Stało się to



Grono posłów w pochodzie koronacyjnym, wśród nich: Hr. Adam Tarnowski i hr. W. Apponyi.

już przed dwoma prawie tysiącami lat. Jednak wbrew wszelkim formułkom i wbrew urzędowemu nieuznawaniu ich za naród, rozsypani po całym świecie, jak piasek, bez piedzi własnej ziemi, bez własnego języka, wykazują imponującą spoistość plemienną, która objawiła się nawet w chęci powrotu do przedtysiącletnich siedzib, chęci zresztą mało obiecującej pod względem praktycznym. Tu religia narodowa zastąpiła wybornie brak dwóch podstawowych warunków indywidualności narodowej, spełniając znakomicie misję konserwowania duszy narodu. Obok tego widzimy inne niesforne zjawisko rozwojowe, jakby wręcz urągające tamtemu: wspólny język i wspólne terytorium, a w ramach tej wspólnoty — dwa narody. To chorwaci i serbowie. Rozsadzająca siła różnych kultur, bizantyńskiej (serbowie) i łacińskiej (chorwaci), oraz odmiennych nieco losów dziejowych, okazała się głębiej kształtującym czynnikiem, niż siła łączna wspólnej ziemi i mowy. W poczuciu własnym serb i chorwat są członkami dwóch różnych narodów, choćby zresztą nauka musiała traktować ich jako etniczną jedność. Pojęcie narodu nie jest tedy zgoła ustalone. Jeśli nie stało się w nauce — cóż dopiero w życiu. Stwierdź-

my dla przykładu, że pomiędzy naszym polskim pojęciem narodu a pojęciem zachodnio - europejskim istnieje niejednokrotnie przepaść. W pojęciu francuza „nation“, to tylko naród polityczny, państwowy, gdy my temu wyrazowi dajemy pośpolicie znaczenie zgodne z kryterium naukowym, co prawda, chwiejnym.

Rozwój skupień plemiennych urągał, jak widzimy, wszelkiemu szablónowi, pokrył też całą Europę szeregiem tworów uderzających swą osobliwością. Proces historyczny zo-



Kościół św. Macieja w Budapeszcie, w którym się odbył obrzęd koronacji.

stał po sobie w tej dziedzinie ugrupowania dziwaczne i niespodziewane formy szczątkowe, które jeszcze dziś nieraz gmatwają bieżące życie. Jak pokłady geolog. ziemi, kładły się na sobie w Europie jedne warstwy plemienne na drugich, a z wzajemnego przenikania ich soków wytwarzały się nowe wciąż kombinacje. Fala wędrówek i wielkich przesunięć narodów szła nakszałt powodzi, zatapiając i wyciskając stare osiedlenia, a po swem opadnięciu zostawiając często osobliwe samotne wysepki, które miały przetrwać następnie aż do naszych czasów. Taką drobną wyspę językowo-plemienną tworzą przytuleni do oceanu atlantyckiego hiszpańscy baskowie, nie spokrewnieni bliżej z żadną grupą ludów europejskich, oraz bałkańscy albańczycy, a także twórcy najstarszej i najwspanialszej kultury Europy — Grecy. Jeszcze w początkach ery chrześcijańskiej olbrzymia połać Europy od górnych Włoch, przez całą dzisiejszą Francję, Irlandię, Brytanię, Belgię aż do zachodnich Niemiec zaludniona była przez liczne plemiona celtyckie, które miecz Cezara podbił rzymskiemu imperyum, na których podłożu powstały nowoczesne narody włoski, francuski, angielski. Z tego starego zaginionego świata celtyckiego kaprys historii zachował strzępy: w francuskiej Bretonii, w Walii, na paru wyspach Irlandii. Około dwa i pół mil. tych niedobitków, mówiących dotąd pierwotnymi swymi narzeczaniami, które pamiętają czasy Cezara, żyje, niby okaz muzealny wśród nowych ludów Europy. Podobnego rodzaju smutne kaprysy dziejów zna również rozwój, a raczej proces zanikania Słowiańszczyzny, której olbrzymia zachodnia połać została zalana falą germańską. Są to serbowie nad Sawą i Driną i serbowie pod — Dreznem. Mały imiennik serbów bałkańskich, szczątkowy lud słowiański, liczący zaledwie jeszcze 150.000 dusz, przeżywa ostatnie swoje chwile, ogarnięty zewsząd potężnymi ramionami narodu niemieckiego.

DN.

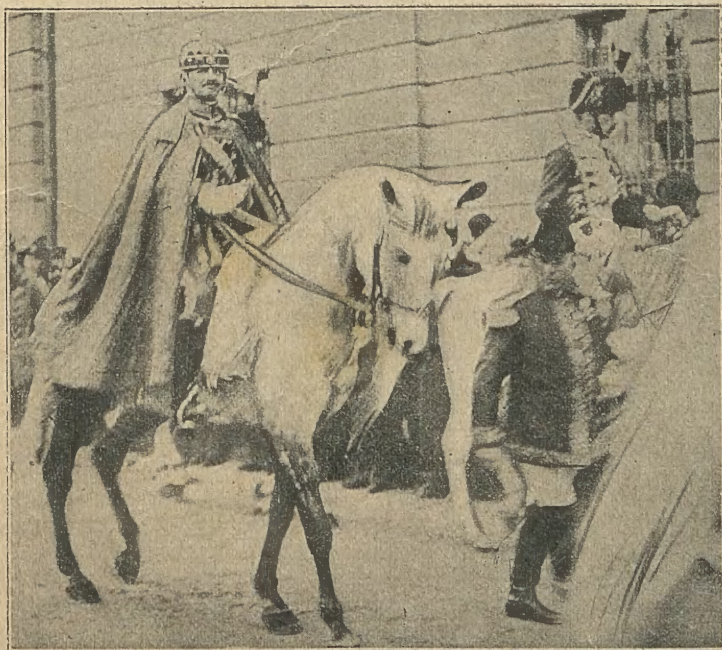
A. Chołoniowski.



Obchód koronacyjny dnia 31 grudnia 1916 r. w Budapeszcie, stolicy Węgier.



Król Karol składa przysięgę na konstytucję u posagu św. Trójcy w Budapeszcie. Po prawej stronie hr. Tisza i prymas Csernoch. Po wygłoszeniu rot przysięgi król uczynił mieczem krzyże w cztery świata strony na znak, że będzie bronił kraju przeciw wszelkim nieprzyjaciołom.



Król Karol po złożeniu przysięgi udaje się na ucztę koronacyjną do zamku. Okrzyki rozentuzymowanego tłumu towarzyszyły mu przez całą drogę.



Hr. Tisza, jako zastępca palatyna w pochodzie koronacyjnym, pierwszy wzniósł okrzyk: „Eljen a Kiraly” na cześć króla węgierskiego.



Na przyjęciu byli obecni oficerowie legionów: komendant hr. Szeptycki, pułk. Berbecki, kap. Żmigrodzki, por. hr. Roztworowski, Beber i inni. Szereg przemówień rozpoczął rektor Politechniki inż. St. Patschke, następnie przemawiali: inż. P. Drzewiecki, wiceprezydent miasta, burmistrz Chmielewski, Ponikowski, Kamieński, St. Śliwiński, A. hr. Ronikier, Wernic, Szyller, Humnicki, Zieliński, pani Trzcńska, Koreywo i inni.

Fot. Maryan Fuks.

Zjazd Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie.



Dnia 4, 5 i 6 b. m. odbył się Zjazd nauczycieli. Na Zjeździe tym ogłoszono szereg mów programowych, które przyczyniły się do uświadomienia zadań i celów szkoły polskiej. Do stołu przydyłnego zaproszono: p. Pomorskiego-Mikułowskiego na przewodniczącego i pp. Arlitewicza, Krzywickiego i Praussa na wiceprzewodniczących.

O tytuł marszałka.

Zjazd Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie.

Rada Stanu mieć będzie przewodniczącego z wyborów. Przysługuje mu tytuł: marszałka. Niektóre pisma już dziś dopełniają tę nomenklaturę i po tem dopełnieniu brzmi ona: marszałek koronny. Tytuł stary dla funkcji nowej. Przywędrował do starożytnej Polski z Francji zapewne via Niemcy i już za Kazimierza Wielkiego się pojawia. Marszałek był wtedy naczelnikiem dworu królewskiego i odtąd zwierzchnikowi temu pozostał ten tytuł aż do upadku państwa polskiego, z przydomkiem „nadworny”. Ale już w 1389 r. mieliśmy i drugiego marszałka, — „koronnego”, a był nim wtedy, jak Długosz świadczy, Zbigniew z Brześćcia. Wszystko to stanowiło ewolucję i odchylenie się od francuskiego „*maréchal*”, który był stopniem wojskowym, dowódcą armii, pod rozkazami „*connetable*”, hetmana, dowódcy konnicy. We Francji tytuł ten przetrwał do drugiego cesarstwa. Jeden z polaków był francuskim marszałkiem, ks. Józef Poniatowski, co prawda, tylko przez trzy dni, bo zaraz potem utonął.

Marszałek „koronny” albo „wielki” staje się ministrem państwa i tworzy gabinet króla wraz z kanclerzem, podkanclerzem, hetmanem, podskarbisem, a po połączeniu się Litwy z Polską wszystkie te tytuły i funkcje są zdublowane. Coś jakby premierostwo mu przysługuje, bo jego pieczęć, a ma ją już w XV wieku, od 1436 roku, przed innymi pieczęciami jest przykładana do dokumentów. Marszałek nadworny staje się postacią podrzędną, rodzajem pomocnika a w razie nagłym i zastępcą marszałka koronnego.

Z biegiem lat znaczenie koronnego marszałka rośnie. Policja i sądownictwo stolicy w czasie rezydencji króla do niego przechodzi. W „artykułach marszałkowskich” otrzymuje on od sejmu 1678 roku osobne pełnomocnictwa. Bielińskiemu przydają się one, aby zaprowadzić w Warszawie ład europejski.

On jeszcze wprowadza posłów obcych do monarchii, przestrzega porządku w senacie, organizuje koło sejmowe do elekcji.

Wszystko to nadaje marszałkowi koronnemu tyle blasku, wpływu i znaczenia, że podczas pierwszego bezkrólewia, po śmierci Zygmunta Augusta, wahano się czas jakiś, kogo *interrexem* uczynić, i Firlej o mało wtedy nie dostał surogatu władzy monarszej. Zdecydowano się wkońcu na prymasa. Marszałek koronny wreszcie przywodził obrzędowi koronacyjnemu i pogrzebowi królewskiemu. Po sejmie 1775 r. brał 60 tysięcy złotych pensyi. Jan Sobieski tę funkcję pełnił; z innych magnatów wymienimy Mniszka i Zebrzydowskiego.

Nosił tytuł marszałka i przewodniczący Sejmowi polskiemu; był to marszałek sejmowy. Miał swego marszałka każdy sejmik, miał i każdy trybunał; miała i każda konfederacja. Tym marszałkom przypadała rola przewodniczenia zebraniom. Rada Nieustająca, pierwszy prawdziwy rząd polski, również marszałka miała naczele.



Prezydium Sekcji języka polskiego. (Od lewej ku prawej stronie) pp.: K. Woycicki (przewodniczący), Stefan Zawadzki, Stefan Saski i A. Szycówna.
Fot. Maryan Fuks.



Sekcja historyczna. (Od lewej ku prawej stronie) pp.: Z. Salinger, J. Gadomski, Z. Gąsiorowski, S. Świętochowski, J. Peszke i J. Cynarski.
Fot. Maryan Fuks.



Podczas przerwy — wolne dyskusye.

Fot. Maryan Fuks.



Hrabia CLAM-MARTINIC, nowy prezes ministrów austriackich.



Hr. CZERNIN, austriacki minister spraw zagranicznych.



R. LANSING, sekretarz spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, propagator pokoju.



Generał NIVELLE, nowy głównodowodzący francuski.



ADOLF SULIGOWSKI został zatwierdzony na stanowisku prezesa warszawskiej Rady miejskiej.

Marszałek Rady Stanu nie podpada pod żadną z powyższych kategorii. Nie będziemy nazywali go ani „koronnym”, ani „wielkim”, nie chcemy uprzedzać rozwoju wskrzeszonej państwowości polskiej i przyczyniać się do zamacania pojęć przed podciąganiem nowych rzeczy, do twórczości polskiej dopiero oddanych, pod czcigodne ale już archeologiczną doniosłość tylko mające nazwy. Nie puste dziś tytuły magistratur polskich będą przecież „arką przymierza między nowymi a dawnymi laty”...

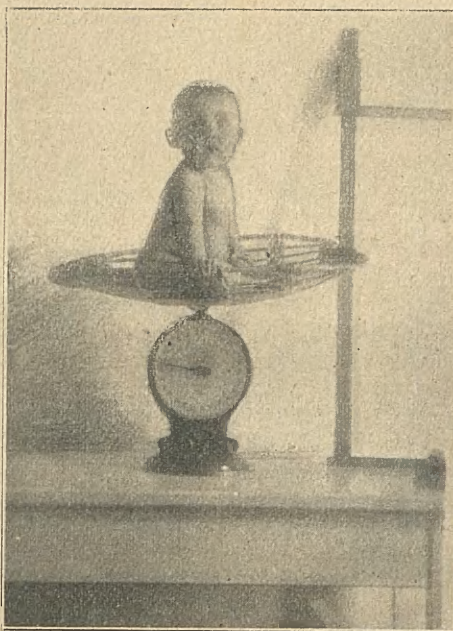
v.



Kropla mleka w Sosnowcu.

Dr. Karol Zahorski rozwinął w Sosnowcu energiczną działalność na polu ratownictwa niemowląt. Stwierdził on cyframi, że 26% dzieci w wieku do lat dwóch umiera wskutek wadliwego odżywiania, a więc zainicjował pracę uświadamiającą siery zainteresowane w tym kierunku. Przy pomocy R. G. O.

udało się też doktorowi Zahorskiemu założyć instytucję wielkiej wagi, a mianowicie „Kroplę mleka” w Sosnowcu. „Kropla mleka” powstała 18 czerwca 1916 r.



Wychowaniec „Kropli” podczas ważenia.

Z urzędzeń tej instytucji korzystają dzieci najuboższych rodziców. Każda matka w godzinach przyjęć otrzymuje bezpłatnie wskazówki higieniczne odnośnie wychowania a przede wszystkim odżywiania dziecka. Dzieci zakwalifikowane przez lekarza otrzymują od instytucji sterylizowane mleko z własnej obory w dawkach, zależnych od wieku i stanu zdrowia dziecka. Mleko wydawane jest w buteleczkach o zawartości 150 — 200 gramów. Mleko musi być zużytkowane tylko przez to dziecko, dla którego zostało przeznaczone.

Jak zbawienne skutki wywarła „Kropla mleka”, wskazuje statystyka, którą ogłosił dr. Zahorski. Wynika z niej, że 86% dzieci natychmiast wykazało przyrost wagi. Przez miesiące lipiec, sierpień i wrzesień wydano 22,941 butelek mleka. Sposób przygotowania mleka jest następujący: mleko nalewa się do butelek i rozcieńcza się słodzoną wodą podług ułożonej w przeddzień tabelki na zasadzie wskazówek lekarza dla poszczególnych dzieci. Każda butelka służy dziecku do jednorazowego użycia; pięć dzieci mają mleko przez smoczek bezpośrednio z butelki. Prócz mleka w poszczególnych wypadkach wydaje się też mączkę Nestle'a.



Zarząd „Kropli mleka” w Sosnowcu: p. H. Dąbrowska, Dr. K. Zahorski, Mirosław Lipski, dr. Suchodolski (lekarz „Kropli mleka”).



Rozdawanie mleka. Przez miesiące: lipiec, sierpień i wrzesień wydano 22,941 butelek mleka o zawartości 150 — 200 gramów.



ST. KNAKE-ZAWADZKI, znany tragik, grał z powodzeniem na scenie teatru Łódzkiego cały szereg ról. Jako „Ottello” porwał poważną krytykę i publiczność.



IRENA ZAKRZEWSKA-KOLBIŃSKA, utalentowana skrzypaczka, występowała z powodzeniem, jednając sobie uznanie krytyki i publiczności.



MARYA GLASS-HERTZOWA na wieczorze poezji w sali Hermana i Grossmana wypowiedziała z powodzeniem cykl utworów, który dobrze świadczy o smaku i zamiłowaniu artystycznych artystki.

Lekarzem „Kropli mleka” jest dr. Kazimierz Suchodolski, dozorczynią zaś p. Halina Dąbrowska.

Przez czas trwania pracy „Kropli mleka” stwierdzono wiele przykładów, gdzie u dzieci z przewlekłymi chorobami przewodu pokarmowego, trwającymi przez miesiące całe a doprowadzającymi organizm niemowlęcy do ostatniego stopnia wyniszczenia, korzystanie z mleka dawało wybitne rezultaty i dzieci te poprawiły się i stały się zdolnymi do życia.

„Kropla mleka” w Sosnowcu energicznie walczy o swój byt i pragnęłaby swoją działalność jaknajwięcej rozszerzyć. Stoi temu na przeszkodzie brak funduszy. W chwili obecnej 125 matek

oczekuje z niecierpliwością momentu, w którym „Kropla mleka” będzie mogła ich dzieciom dać ten ważny a tak trudny do zdobycia produkt spożywczy, jakim jest dobre mleko.

Od ofiarności społeczeństwa zależy jest dobry byt i rozwój instytucji. Dotychczas wiele w tej sprawie ofiarności wykazało obywatelstwo Poznańskie. Nie wyczerpało ono jednak naszych potrzeb, które rosną z dnia na dzień wskutek szerzącej się wojny. Ilość uratowanych od śmierci niemowląt jest najlepszą społeczną rekompensatą za trudy, które należy ponieść dla przyszłości naszej.

P.



Komisyja szacunkowa miejska rejestracji strat wojennych VI okr.



Siedzą: J. Neufeld, A. Piekarski (prezes), K. Olszowski, J. Biały, F. Bogucki i Salamoniwicz. Stoją: S. Zalewski, Mikoszewski, Wolamin, J. Lewandowski, J. Halber i Majewski

Ś. p. Kazimierz Alchimowicz.

Dnia 31 grudnia 1916 r. zmarł w Warszawie w zapomnieniu jeden z wybitnych mistrzów sztuki malarskiej, Kazimierz Alchimowicz. W 1863 roku brał on czynny udział w powstaniu, za co został zesłany na Syberję. Urodził się Alchimowicz na Litwie w powiecie Lidzkim w roku 1840. Szkołę kończył w Wilnie. Studya malarskie odbywał w Warszawie



u Wojciecha Gersona, a następnie w Akademii Sztuk Pięknych w Monachium. Alchimowicz zdobył sobie medale za prace swoje w Paryżu. Jako malarz historyczny, wykonał cały cykl obrazów, które zjednały mu uznanie i sławę. — Opiewał też tkliwie wieś litewską i obrazy powstałe z tych natchnień zaliczyć należy do rzędu najcenniejszych prac tego mistrza.

Z obrazów historycznych wyróżnia się zwartością i kompozycją p. t. „Ostatnie chwile ks. Michała Głińskiego” oraz „Kacper Karliński w obronie Olsztyna”, „Dożynki na Litwie”, „Żniwa na Litwie”, „Cyganka”, „Przy płocie” — oto tytuły obrazów rodzajowych, które swojego czasu wywoływały dla Alchimowicza powszechne uznanie. Wartości przypomnieć twórczość Alchimowicza pokoleniu obecnemu. „Zachęta” zapewne urządzi wystawę zbiorową dzieł mistrza.

Ś. p. Natalia Potocka.

Zgasa wraz z rokiem jedna z wybitnych a popularnych postaci wyższego towarzystwa warszawskiego. Córka ś. p. Maurycego, oficer wojsk polskich chrześnego syna i synowie: księcia Józefa Poniatowskiego wyznawała ś. p. Natalia w swym życiu najczystsze uczuci przywiązania do kraju.



Zawsze gotowa do usług, dobroczynna poza granice swej możliwości, wyrozumiała na wiele, nie znała konpromisów, gdy chodziło o godność narodową. Pod powłoką ujmującej dobroduszości krył się sąd wytrawny o ludziach i sprawach krajowych.

Dla tych, którzy ją młodą znali, zachowała do ostatniej chwili czarujący wdzięk polskiej piękności, w każdym swym ruchu i przepięknych oczach. Sprawiedliwość rozdzielała zamknąć jej księgę z wyrozumieniem zasług, jakie, choć nie wszystkim wiadome, położyła ta dobra polska pani.



Ś. p. Karol Zawada.

Dnia 19 listopada r. z. zmarł w Częstochowie w 56-ym roku życia, opatrzony Św. Sakramentami, znany w mieście obywatel, b. założyciel i dyrektor szkoły ogrodniczej, właściciel ogrodów, dr. fil.



Karol Zawada, niespodzianym zgonem po parodniowej zaledwie chorobie, zapaleniu płuc, osierocając żonę i rodzinę.

Urodził się 1860 r. w Rudnikach ziemi wieluńskiej, wychowywał się i uczęszczał do gimnazjum w Częstochowie, gdzie ojciec jego August, znany już w kraju ogrodnik, nabył ziemię, na której założył ogrody, jedyną wówczas ucieczkę w letnie skwary całego miasta.

Ś. p. dr. Karol po ukończeniu gimnazjum przeniósł się do jednego z gimnazjów w Warszawie, poczem do Król. Instytutu Pomologicznego w Prus-

kowie na Szlązku, który chlubnie ukończył. Umiłowałszy sobie szczególnie przyrodę, nie staje na tem w dążeniu do wiedzy: udaje się na wydział filozoficzno-przyrodniczy uniwersytetów w Lipsku, Heidelbergu, a w Erlangen uzyskuje tytuł doktora filozofii, — w dalszym ciągu piastując myśl założenia szkoły ogrodniczej, po studiach teoretycznych przyswaja sobie praktykę, pracując w różnych ogrodach Wiednia, Paryża, Belgii, Niemiec, Warszawy i Petersburga. Po powrocie do kraju zakłada szkołę ogrodniczą 1892 r. z t. zw. prawami po długich staraniach i przeciwnościach władz ówczesnych.

Do 1902 r., t. j. do czasu zamknięcia szkoły, był jej dyrektorem.

W dalszym ciągu nie ustaje w pracy na niwie ogrodnictwa i rolnictwa, prowadzi szkółki drzew owocowych, znane w kraju, w Rosyi i za granicą, czego najlepszym wyrazem służy mnóstwo nagród na wystawach, między innymi nagroda Grand Prix na wystawie wszechświatowej w Paryżu, dokąd udawał się z uczniami. Zakłada w Częstochowie Tow. ogrodnicze, Spółkę ogrodniczą, bierze żywy udział w organizowaniu wystawy częstochowskiej, zakłada z członk. Tow. ogrodn. i spółki, półka dla robotników, popularyzuje wykłady dla kółek rolni-

czych, chętnie niemi służy jako też i pokazami praktycznymi tymże kółkom. W roku zawieruchy 1905 za wykłady rolniczo-ogrodnicze w miasteczkach zostaje z innymi prelegentami uwięziony w Częstochowie.

Żywotne nad wyraz usposobienie zmarłego sprawia, że do zgonu bierze czynny udział w wielu przedsięwzięciach wnosząc do nich tak rzadki u nas element jawnego krytycyzmu.

Nie dziw, że nie zawsze i nie przez wszystkich przyjmowano to chętnie, natomiast zawsze spotykało się z uznaniem dla dobrej woli, która cechowała wszelkie czyny i wystąpienia zmarłego.

Tej dobrej woli żywy wyraz zostawił ś. p. dr. Karol Zawada w testamentie, oddając na rzecz miasta Częstochowy t. zw. pomologię, w której była szkoła ogrodnicza, park, zakładany przez swych uczniów, ogrody i prócz tego gmachy koszar (wartości zgórą 400.000 rubli), z ograniczeniem dożywocia żony. Marzył o parku dla dzieci Częstochowy, o szkole rolniczo-ogrodniczej w swych domach i ogrodach i szczęśliwie te znane były otoczeniu, bo je niejednokrotnie wyjawiał.

Odszedł z nadzieją, że życzenia jego się spełnią.

Lekką mu bądź, ziemio umiłowana!

10205.

Zabytki artystyczne Warszawy.

Polskie Towarzystwo Krajoznawcze wzięło sobie za zadanie krzewienie wiadomości o stolicy naszej Warszawie. Wydało już cały szereg publikacji w tej materii, jak Al. Janowskiego „Położenie geograficzne Warszawy“, R. Jakimowicza „Warszawa i jej okolice w czasach przedhistorycznych“ oraz Maksymiliana Barucha „Warszawa za książąt Mazowieckich i Jagiellonów“. Teraz znów świeżo wydano „Zabytki artystyczne Warszawy“ prof. Wincentego Trojanowskiego. Książeczka ta należy do rzędu arcyinteresujących publikacji. Pisana z miłością dla Warszawy, omawia epokę gotycką i renesansową, daje obraz ciekawy baroka, epoki rokoka i pseudo-klasycyzmu. Warszawianin powinien czempredziej tę książkę przeczytać: przechodzi się nie raz koło skarbów i nie dostrzega się ich wartości. Prof. Trojanowski umiejętnie pobudza do zainteresowania się widocznymi znakami przeszłości naszej kulturalnej. Książeczka ta napewno wzbudzi zrozumiałą ciekawość wszędzie, gdzie czuje polskie serce. Dzieje bowiem stolicy interesują każdego polaka, a skarby artystyczne Warszawy są przecież własno-

ścią całego narodu. Wprawdzie skarby te rozdarowywano lub też łupiono niemilosłownie, ale ocalały jeszcze bardzo cenne zabytki naszej przeszłości. Poznać je i ukochać trzeba. Książkę swoją prof. Trojanowski ozdobił 11 rycinami.

Zwycięzca.

„Na srebrnym globie“ rozpoczął doświadczenia nad człowiekiem Jerzy Żuławski. Obdarzył go geniuszem wynalazczym. Pozwolił mu za pomocą skombinowanego naboju wydostać się z ziemi na księżyc. I tu dopiero wziął tego szczęśliwca, co się przedostał z ziemi na księżyc, w tygiel doświadczeń psychologiczno-etycznych. Narzucił mu nawet Żuławski rolę boga. Otoczył legendą i poezją. Jako zwycięzcę w aureoli aurytety drobego pokolenia wyczarował i pokazał niedolę właśnie „Człowieka nowego“, co przyszedł na glob srebrny miast „człowieka starego“. Bo oprócz ludzi tu na księżycu mieszkają jeszcze szerny i morecy? Pokolenia nadludzi i niewolników. Zjawi się nawet taki, co nie wierząc w „Zwycięzcę“, nie śmie nawet przypuścić, by przyszedł on z ziemi.

Ziemia bowiem — to glob zimny i niezamieszkały. I ten kacerz zostanie przez Żuławskiego ukarany. Dostanie się do poisku, który go przeniesie znów na Ziemię. Zwycięzca interesuje całą gamą intelektualnych projekcji ideologiczno-moralnych. Jako powieść, należy bezwzględnie do najciekawszych utworów naszego piśmiennictwa. Żuławski wypowiedział się w „Zwycięzcy“ najplastyczniej, ukazał wszystkie najszlachetniejsze pierwiastki swojego talentu.

Moda a patriotyzm.

Ciekawe zagadnienie mody porusza w estetycznie wydanej broszurze p. M. R. Omawia on modę jako zjawisko socjologiczne i przychodzi do przekonania, że moda jest zjawiskiem kosmopolitycznym. Należy tylko żądać od konsumentów, by krawcom swoim kazali sporządzać swoje ubiory z materiałów krajowych. W ten sposób rozumie pojęte hasło patriotyzmu zyska świetne zastosowanie. Broszura p. M. R. napisana jest interesująco i barwnie.



Nakładem Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie

wyszła z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach

ENCYKLOPEDJA HANDLOWA

W OPRACOWANIU NAJWYBITNIEJSZYCH SIŁ FACHOWYCH

2 duże tomy, obejmujące razem 764 stron tekstu, 39 map politycznych i produktowych, wykonanych w wielobarwnej litografii, 2 tablice i 7 rycin w tekście.

Cena za 2 tomy w pięknej i trwałej oprawie w półskórek Rb. 20, broszurowane Rb. 16.

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 13 stycznia 1917 roku

Nr 2.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARJERY.

12

Panna Zosia była bardzo zadowolona, że się do reszty ściemniło i że nie dostrzeżono rumieńca, który, jak róża, spłonał na jej delikatnej, białej twarzyczce na samą wieść o przybyciu nieznanego młodzieńca.

— Ach! Z temi wiecznymi rumieńcami! — wzruszyła ramionami.

Panna Zosia ma lat osiemnaście. I jest prześliczna. Ma alabastrową o niebieskich żyłkach, drobną twarzyczkę. Trochę zbyt wyrosła, jak młoda topola, bardzo szczupła blondynka, o popielatych (nieutlenianych podług obecnej mody na złoto) włosach, jakimi za drugiego cesarstwa tak się zachwycano. Byłaby ze swoim nieco zbyt krótkim, zciętym regularnym noskiem przeciętną rasową wysmukłą „young girl” z dystygowanego domu, gdyby nie oczy, bardzo odrębne, bardzo dziwne, tylko jej właściwe, koloru morza, podłużnie oprawne, aż przesadnie wąskie i długie, jak u nikogo, oczy „z nieprawdziwego zdarzenia”.

Starsi twierdzili, że tylko Wisnowska miała kiedyś podobne oczy; oczy stworzone do pięknych bajek i do marzeń o zamorskich królewiczach i legend z innej planety... Takie oczy pozatem nie widzą, nie wiedzą i wiedzieć i rozumieć nie chcą.

Na ciemnem niebie, spokojnem, jak toń jeziora, zajaśniała pierwsza gwiazda. Panna Zosia od niej odebrać nie może swoich zielonych podłużnych oczu z bajki. Gwiazda ta coś jej szepce: panna Zosia nie ciekawa jest jej pozytywnych wyro-

ków; woli samą pieśń, niż słowa. I wnet poczęła roić, jak wszystkie młode dziewczyny, o nim, o tym młodym i pięknym nieznanym królewiczu, który, niewiadomo dnia i godziny, kiedy przybędzie i przemówi:

— Oto jestem.

Będzie go kochała, jak nikogo na świecie, jego jedynego do końca życia... Będzie jej bliskim, jak nikt. Będzie miał głos, taki młody, dźwięczny... i piękny będzie, jak bożek... I będzie dobry, szlachetny, silny i mądry. I będą siedzieli tak oboje, owionęci cudnym urokiem ciszy, wsłuchani w rechot żab i w odgłos fujarki, wpatrzeni w tę oto gwiazdę... I będą szczęśliwi...

Rumieniec znowu pokrył jej twarzyczkę, szczęściem, iż noc jest dyskretną.

Panna Zosia zerwała kilka białych goździków, aby przypiąć je do bluzki. Przecież królowie lubią kwiaty. Tymczasem chłodziły one swoją jedwabistością jej rozognioną twarzyczkę.

— Petite mère — zwróciła się pieszczotliwie do matki. — Mam taką zmiętą bluzkę; czyby nie wano zmienić jej do kolacyi?

— En voilà une histoire! — wzruszyła ramionami Mademoiselle Céleste.

— Naturalnie. To nie jest żaden gość. To domowy korepetytor, z którym nie trzeba bawić się w ceremonie.

— Jakże to śmieszne! — zwierzała się gwiazdom półsennie rozmarzona, posłuszna zawsze matce

panna Zosia — aby o ludziach decydowało ich stanowisko! Tem bardziej, jeżeli oni są spadłymi z niebios bożkami, królewiczami! Jak-gdyby korepetytor nie mógł być królem? — zadecydowała zupełnie już sennie.

Służba wniosła stół, oświetlony świecami, uzbrojonymi od wiatru, od much i komarów szklanemi kloszami. W oświetleniu tem widać, jak drażnią podniebienia księdza Zalewskiego i pana Gleby ułożone na półmiseczkach: sałatki z jarzyn, grzybów i pomidorów, w męczących majonezowych sosach, domowe wędliny i ryby w trzęsących się brylantowo galaretach, arcydzieła smakowitej kuchni i zasobnej spiżarni Jędrzejewickiej.

Pannie Zosi żal tego młodego chłopca, którego losy uczyniły tylko korepetytorem, i uważa wyrok matki, opiewający, iż dla niego nawet bluzkę nie warto zmieniać — za bardzo niesprawiedliwy.

— Gdyby jakiś najgłupszy sąsiad przyjechał w gościnę, to trzebaby było zmienić bluzkę; a gdyby był hrabia, toby już od rana była mowa o zmianie całej sukni, bucików i kua-fiury. A królewicz jest przecież więcej, niż hrabia; nawet więcej, niż u dzielnym księciem.

Spojrzała na ęmy i na całą falę motyli, uganiających się wokoło świec oszklonych, w których straszną śmiercią zginą; wstydziła się proponować, aby świece pogasić.

— Biedne ęmy i motyle!

Uczuła bardzo dotkliwy ból oko-ło serca; a w gardle ją aż dusiło.

— Zosiu! Czemu ty nic nie jesz?

— Należało razem z Halą — żarcikowała matka — położyć się przed kolacją do łóżka.

Starzy po obfitej zakąsce zasiedli do bridża.

Panna Zosia powróciła do swojej rozmowy z księżycem i gwiazdami.

Nie była to właściwie rozmowa, lecz duet jej z niebem, bez słów: a akompaniamentem — muzyka ciszy, cała w akordach zapachów, powiewów wiatru, błysku gwiazd i świętojańskich robaczek...

To wszystko razem trwało — wiadomo, godzinę, minutę, czy wieczność całą, utkaną z tych samych niezmiennie pieśni, jakie przeżywały — w podobnych chwilach, wszystkie jej prababki.

Głos służącego przeszył ją, jak strzała:

— Proszę jaśnie pani, pan korepetytor przyjechał.

— Boję się — stchórzyła naraz pobladła panna Zosia. — Boże! Błagam Cię o jedno: Niech się okaże, że on jest brzydkim, łysym, w niebieskich okularach!

V.

Ci wszyscy przechodnie na Marszałkowskiej ulicy, zazdroszczący młodzieży, która opuszcza ciasne mury stołeczne, aby wyrzucić razem z piactwem, hen! na wakacyjną swobodę pól i lasów — idealizują własną młodzieńczą przeszłość i osadzają w swoim zapomnieniu ów kinematograficzny sztafaż grubo, płytko i powierzchownie.

Nie ulega kwestyi, iż młodzi są szczęśliwsi od starych; lecz bezwzględne szczęście przecież na świecie niema, a wśród burz i piorunów wiosny nieraz zazdrości się jesieni, zapominając znów, jak dotkliwymi bywają w niej zimna, szarugi i śloty.

Bo ci wszyscy z jednej sztuki „Oj młodzi, młodzi“ istnieją jedynie w bardzo sympatycznych i pogodnych, lecz zbyt osłodzonych i płytkich komediach młodego Fredry.

A i trzęsący się ze swoim biednym kuferkiem w niewygodnej jednokonce Romek Rudnik — nie jest wcale podobnym do lekkiego amanta w rodzaju Gucia ze „Ślubów panińskich“.

Ten ładny, szczupły, śniady brunecik, o ciemnych aksamitnych oczach, o kobiecych ustach i cienkich, rasowych, długich, śniadych rękach — jest urodzonym intelektualistą, marzycielem, pogardzającym bilardem i łatwymi miłostkami, lubującym się w estetycznym smutku, kontemplacji i w zadumie.

Prawda, że życie mu się różami nie słało. Po uzyskaniu matury w szkole Reja, wobec obietnicy, danej matce, ciężko pracującej w swoim

prowinencyalnym sklepiku — postanowił studiować medycynę. Lecz do rosyjskiego uniwersytetu w Warszawie uczęszczać nie mógł. Należało uzyskać maturę w Rosyi i tam wstąpić na uniwersytet. Nie nęciła go ani Rosya, ani medycyna. Miał ogromną ochotę jechać za granicę, na którą nie było środków.

Tymczasem żył z korepetycyi, które nie zawsze się wynajdywały. Na podziewanie butów nie zawsze starczyło, a i te zbyt tanie obiady nieraz w gardle stawały.

Lecz niezależnie od tych życiowych codziennych trosk, choć uchodził u kolegów za dość wesołego

chłopca — jakiś ukrywany beznierowny smutek nosił w głębi. I choć pogwizdywał bardzo umiejętnie arye z operetek, choć wybuchał często studentckimi konceptami i śmiechem — dusza bardzo często w nim płakała.

Opanowany handrą — uciekał od kolegów, którzy zrażali go swoją obojętnością i złością, od miłostek, które budziły w nim najgłębszy niesmak. I znosił męki Tantala w swojej piskłej niezaradności i młodzieńcem odczuwaniu tej bezterminowej niewoli życia — przywiązany kajdanami obowiązków do taczek pańszczyznianej pracy.

Dalszy ciąg nastąpi.

BOLESŁAW ZYGM. LUBICZ.

Nowela.

OKOPY KOCMYŻOWSKIE.

2

Pocichutku wykradły się z okopów i wsiąknęły w noc. Chodziło o spatrołowanie wsi i wawozu.

Orlik wyrwał się na ochotnika. Ciążyła mu bezczynność w rowie strzeleckim, po żmudnym onegdajszym marszu i całodzienną bitwie. Czuł, że pomimo zmęczenia nie usnie i bał się mordegi myśli. Wolał rozdmuchać w sobie płomień instynktu i iść utartym szlakiem, wolał zwykle obowiązki żołnierza, z którymi się zrośł i które wypełniał automatycznie, ze sprawnością i dokładnością starego żołnierza z „kadrówki“.

Gdy wymienili hasło i odzew z placówką i zesłali gęsiego w samą głęb wawozu, ogarnęła ich nieprzejrzysta, ciemna noc, która zadawała kłam wszelkim cierpieniom, wysiłkom krwawym i bolesnym, męce i szarpaniu się ułomnego życia. Wszystko otulała mgła, łagodząc i gojąc.

— W takiej mgle może się iść śmierć bezbolesna, lecz nie trwożne szlochanie życia — myślał Orlik. — A jednak... Cóż oni robią? Czyż nie są wyrazem tej ułomności życia, tej szarpaniny bezlitosnej, tego drapania ran powierzchownych — ran ciała, gwoli zagojenia rany najboleśniejszej, najkrwawszej, najfatalniejszej, — rany duszy? Gdzie — gdzie jest uzasadnienie? Po raz wtóry już dzisiaj miał Orlik przeczucie, że uzasadnienie to przyjdzie, ale nie przyszło. Stał, patrząc w głuchą noc, a za nim stali inni.

Zdawał się być niezdecydowanym. Noc przejęła go wilgocia. Podniósł kolnierz szynela. Skulił się w sobie. Żołnierze niecierpliwie przestępowali z nogi na nogę.

— Komendancie — zwrócił się do niego tonem służbowym Walgierz. — Obywatelu komendancie! Mielśmy spatrołować wieś. Przejdziemy — kontynuował ciszej — ta ścieżka aż do wylotu wsi. Ja pójdę z Dudą w czujce. Dobrze?

Orlik otrząsnął się z zadumy. Głosem bezbarwnym wydał rozkazy ściśle i rozumne, o rutynie wojennej świadczą-

ce, poczem wkroczone do wsi. Cichutko, z bagnietami nasadzonemi na broń, skradali się w cieniu domów, zatrzymując się i nasłuchując. Koło chałupy Jeńców, stojącej nieco na uboczu, Orlik zaczął się zatrzymać, zdał komendę na Walgierza, sam zaś z jednym szeregowcem poszedł na wywiad. Wydało mu się, że słyszy szmer jakiś. Był teraz zgola innym Orlikiem, nie tym, co w okopach. Wyostrzone miał wszystkie zmysły — widział i słyszał, odgadywał instynktem, miewał jasnowiedzenia.

— Zygryd! Widzicie co? — spytał szeptem towarzysza.

— Nie, komendancie, gdzie?

— Trzecia chata po naszej stronie, nie licząc tej, przy której stoimy...

Wydało mu się, że widzi postać ludzką, przywartą tak, jak oni, do muru. Skradali się jeszcze ciszej. Gdy byli już o parę kroków od mety, ujrzeni wychylającą się z za węgla chaty postać człowieka z karabinem w ręku. Zastygli — skamienieli w bezruchu. Żołnierz rosyjski zdawał się ich nie widzieć. Nie zdążyli rzucić się na niego, by nagłem uderzeniem bagnietów zawarować sobie jego milczenie, gdy odwrócił się tyłem do drogi i jał pilnie zagłądać przez szybę okna do wnętrza chaty.

W moment znaleźli się koło niego. Zygryd go złapał za gardło i dusząc, walił na ziemię. Orlik, oparłszy karabin o ścianę chaty, luźną pistoletu Steyera wymacał żołdacką skroń, lewą zaś ręką przytrzymywał, dla uniknięcia loskotu, upadające ciało. W parę minut rosyjanin z zakneblowanymi ustami, „odrutowany“ należycie, leżał zdany na łaskę i niełaskę legionistów.

Wówczas zajrzeli do izby.

Gesty mrok przerzynały promienie ręcznej latarki, trzymanej przez ros. żołnierza. Obok niego, nieco bliżej drzwi, stał drugi z rękami opartymi na karabinie. Gdy żołnierz z latarką postąpił naprzód, z mroku wyłoniła się kołyska. W niej kwiliło dziecko.

Orlik miał teraz rozwiązanie męczącej go zagadki. Wiedział już teraz i rozumiał i to straszne szlochanie i ten potworny krzyk aresztowanej w przedpołu kobiety. Jak się to stało? Może nie było jej we wsi, a może chciała wpięrowyć z chaty cały dobytek, rachując, że po dziecko pozwoli jej zgłosić się później. Mniejsza zresztą, jak było. Dość, że, oto, w opuszczonej wsi, która o mały włos nie została spalona, która łąka chwila mogła spłonąć, w kołysce leżało zapomniane dziecko.

W tym czasie do kołyski podszedł żołdat i wyjął z niej dziecko. Czując dotknięcie ciepłych, choć szorstkich rąk, dziecko uspokoiło się. Rozczuliło to dobrą i ludzką w gruncie rzeczy naturę rosyjskiego „muzyka”.

— Ach, ty malczugan! Isz kanalia! Isz padlec! Isz mier'zawiec! — przymilał się żołdat do dziecka. Głos jego stawał się coraz bardziej pieściwym i gromkim, tak, że przez rozbityą szybę legionieści doskonale go mogli słyszeć.

Zbliżył się i drugi żołnierz.

— Daj mnie — rzekł i wyciągnął rękę. Lecz tamten nie dał. Dziecko zaczęło płakać.

— Ależ ty nie umiesz z nim się obchodzić — rzekł drugi, starszy.

— On jak ptaszyna mała, jak wróbelek, chuchać trzeba na niego...

— Kłamiesz... I ja mam dzieci! Wiem, jak z nimi trzeba się obchodzić. Mój Wasia pewnie już większy. Będzie miał dwa lata...

Dziecko płakało.

— Nu, cóż my z nim zrobimy? Zostawić go tu nie można przecie. Weźmiemy ze sobą do wsi.

— Oddamy komuś.

— Chyba twojej Marysi. Niech niańczy!

— Najlepiej „rotnomu komandiru” (komendantowi kompanii). Powiemy, że mu się urodziło, — dowcipkował drugi.

Podobało się to obu, więc się śmiali na całe gardło.

Gdy przestali się śmiać i zawiązawszy dziecko w brudne pieluchy i znalezioną chustkę, szykowali się do odejścia, spostrzeli naraz, o parę kroków od siebie, na progu chaty dwóch uzbrojonych ludzi.

— Kto idiot? — schwycił za karabin starszy. Drugi trzymał oburącz dziecko, więc był bezbronny.

— Swój!

— Kto swój?

— Broś paria, — kontynuował dyalog doskonałym wielkorusyjskim dyalektem Orlik. — Oddajcie nam lepiej dziecko. Matka jego jest u nas, za naszymi pozycjami. — Zaległo długotrwałe milczenie. Przeciwnicy mierzyli się oczami. Wszyscy prócz młodszego żołdaty trzymali broń w pogotowiu.

— Nu chtoż, Sergiej? Oddadim... — chwiejnym głosem doradzał starszy.

— A wy kto? — zapytał Sergiusz, zamiast odpowiedzi. — Niemcy?

— Polacy!

— Polaki! Nie dam dziecka. Ono nasze... ruskie... To jest dziecko kapitana Sierowa, naszego komendanta.

— Nu, chto ty Sergiej — mitygował starszy. — Tfu! Kłam, ale bez prze-

sady. Też wymyślił! Nu, skądże kapitana Sierowa?

— Nu, jeśli nie Sierowa, to innego Zwierowa, a dziecko nasze. Polaki jego na żydowską albo na niemiecką wiarę nawrócą.

— Dziecko nasze! — rzekł twardo Zygryd. — W polskiej wsi urodzone i matka jego jest u nas. Oddajcie je nam, a będziecie mogli odejść w spokoju. Wam krzywdy nie zrobimy. Czy nie tak, komendancie?

— Tak! — potwierdził Orlik. — Oddajcie je nam, a sami będziecie mogli odejść. Zostawcie tylko broń. Chata jest otoczona i wieś nasza! Lecz żołnierz, trzymający dziecko, zacietrzewił się.

— Nie dam na żydowską wiarę, nie dam — krzyczał. Wreszcie niespodzianie rzucił dziecko do kołyski i złożywszy się z karabinu, który trzymał pod pachą, wystrzelił. Zygryd padł z rozkrzyżowanymi rękami.

Wówczas Orlik strzelił z rewolweru i żołnierz trzymający latarkę runął, jak długi. Jednocześnie uczuł pchnięcie. Bagnet ześlizgnął się po ciele i uderzył w ścianę. Moskal cofnął się i chciał drugi raz uderzyć, lecz Orlik schwycił gołymi rękami za żelazo i zdołał zatrzymać ostrze o parę cali od brzucha. Stawiał rozpaczliwie opór. Wiedział, że jeżeli wypuści bagnet, padnie z rozprutymi wnętrznościami. Przeciwnik rzucał się, włóczył go za sobą po chacie, wreszcie nagle szarpnięciem wyrwał karabin. Rozległ się wystrzał i ból nagły przeszył lewe ramię Orlika.

Cofnął się do samej ściany i wystrzelił wszystkie naboje ze Steyera, mierzając przed siebie w nieprzenikloną zaworę mroku. Po każdym strzale usuwał się jednocześnie w bok, w przewidywaniu nowego pchnięcia bagnietem. Nie omylił się. Tuż koło niego, z potwornym rozmachem wpił się w ścianę bagnet. Wpił się i został w niej. Zrozumiał to Orlik po przekleństwie, które się wydostało z ust rosyjskiego chłopca. Wówczas rzucił się naprzód i trafił na przeciwnika. Obaj teraz byli bezbronni. Zwarli się pierś o pierś, twarzą w twarz. Wyteżyli wszystkie mięśnie ciała, by zwalić i zdruzgotać przeciwnika. Orlik czuł potworny ból w lewym ramieniu. Bronił się słabo. Olbrzymie cielsko rosyjskiego chłopca zważyło się na niego i gniotło go, wydobywając z ust jego jęk piekielnego bólu. Wreszcie zwalili się. Orlikowi zaczynało braknąć oddechu. Jednocześnie dostrzegł to, czego przeciwnik zdawał się nie widzieć: że latarka nie zgasiła, że z rozbitego rezerwuaru sączył się olej i że każdej chwili mogła się zająć słoma, którą przykryta była cała podłoga chaty.

Zebrawszy resztę sił, zdołał podnieść nieco dławiający, nienawistny ciężar i, jak mógł najsilniej, uderzył przeciwnika kolanem w brzuch. Ten jęknął. W następnym momencie Orlik uczuł, że żołnierz wpija mu się zębami w twarz. Zemnął.

Obudził go w dobre parę minut potem chłód nocny i głos Walgierza. Wydawał rozkazy:

— Ob. Orlika weźmiecie we dwóch. Nieść ostrożnie, ale szybko. Weźcie także karabiny rosyjskie! Albo nie! Wróć! Weźmiecie tylko zamki i bagnety; karabiny niech niosą sami. Wy zaś — mówil dalej po rosyjsku — weźcie ciało! Nno! Brać!! Umieliście go zabić, potrafcie i nieść! I pamiętajcie! W razie najmniejszego oporu — kula w plecy. Duda prowadzi. Marsz! Jeśli zostaniemy zaatakowani, słyszycie? — dodał, gdy już byli w marszu — położyć rannego. Michał będzie uważał na jeńców, my zaś we dwóch będziemy się ostrzeliwać.

Gdy dzwignęli go w górę, ból był tak dotkliwy, że zemnął powtórnie. Ten-że ból nie do zniesienia zatlił w nim znów po chwili świadomość.

Wyszli ze wsi i szli krętą ścieżyną w górę. Za nimi rozlegały się strzały. Z okopów zaczęto im odpowiadać. Wkrótce ożyły pozycje. Rozpoczęła się istna orgia strzałów karabinowych. Zmęczony, zdenerwowany żołnierz wpadł w furję — strzelał bez potrzeby, bez komendy. Przeciwnicy przesyłali sobie w ten sposób wzajem wieść o swej gotowości do boju i o swych prawach nieprzedawnionych i o niezatłwionych rachunkach.

Legioniści szli coraz szybciej. Nagle powstrzymał ich cichy okrzyk Orlika:

— Stójcie!

Stanęli.

— Co się stało?

— A... dziecko...

— Jakie dziecko?

— Tam w chacie... Spali się... tam był ogień...

Nadludzkim wysiłkiem wykręcił głowę i ujrzał za sobą płonącą wieś. Z oczu mu zakapały łzy.

Strzelcy ponieśli go dalej.

II. Bój.

Wnorowski próżno usiłował skupić koło siebie żołnierzy. Większość rezerwy była już w polu. Bitwa wrzała na odcinku kilkuwiorstowym. Pierwszy atak nie powiódł się zupełnie. Rzecz zwykła w praktyce legionistów. Gdy oni szli naprzód, tamci i t. d. I to cały pułk! Ha! ha! Wnorowski aż się pieniał z irytacji: — Tfu! „Pepiczki! Głucha rozpacz wrzała w sercach żołnierzy. A gdy zwrócili się frontem przeciw atakującym ich z flanki, pluł na nich karabim maszynowy — —

— Gdzie żołnierze?... — rzucił się Wnorowski na idącego z całym spokojem Plutę.

— Śpią snem sprawiedliwych... Zresztą sami widzieliście. Byliście tam...

Wskazał niedbale ręką przeciwległe wzgórce, gdzie w zagajniku leżał pokój legionistów z oddziału Wnorowskiego.

— A ci dranie z karabinem maszynowym uciekli! — rzucił się znów Wnorowski.

Pluta wzruszył ramionami: — Moja wina?

Dalszy ciąg nastąpi.



Zmartwienia Pana Hamelbeina.

Komedia w 3-ach aktach.

2

SCENA 3.

CIŻ — ADZIO — EDZIO.

ADZIO. Papo! Chcemy się bawić w krowę i pieski.

EDZIO. W krowę i pieski!

EWA. Cicho, bachory! Chodźcie tu! (*bierze ich za ręce i prowadzi do Krystyny*). Ukłońcie się pani.(*Malcy, cokolwiek zażenowani, kłaniają się*).KRYSZYNA. Jacy ładni! (*do Ewy*). Do ciebie podobni.ADAM (*głaszcze Adzia*). Taki mały łodyg, ledwo od ziemi odrósł, a już na koniu jeździ (*głaszcze drugiego*). Ten także będzie jeździł.

EDZIO. Teraz mam tylko dwa osiołki i wózek.

ADAM (*wskazuje Adzia*). Ale on do mnie jest też trochę podobny, prawda?EWA (*niecierpliwie*). Ani trochę.KRYSZYNA (*śmieje się*). Może z oczu... ale więcej do Ewy.EWA (*bierze ją wpół*). Chodź! (*wychodzą do salonu*).

SCENA 4.

ADAM — ADZIO — EDZIO.

ADZIO. Kto jest ta pani?

ADAM. Przyjaciółka mamy... Koleżanka...

ADZIO (*zamyślił się*). Koleżanka?...

EDZIO. Ja chcę się bawić w krowę i pieski... Ty będziesz krową, a my będziemy pieski.

ADAM (*strofuje*). Nie mówię: my będziemy pieski! Ty będziesz pieskiem, my będziemy... pieskami... nie... (*nie może wybrnąć*) ty będziesz pieskiem... i ty będziesz pieskiem...ADZIO. Jak krowa woła? (*złożył ręce przy ustach i naśladuje ryk krowy*). Muu!ADAM (*uczynił to samo, ale poważniej, i ryczy z namaszczeniem*). Muu!(*Malcy klaszczą w dłonie i skaczą z radości*).ADZIO (*udaje pieska, szarpie ojca za żakietę*). Cham! Cham!EDZIO (*idzie za przykładem brata, z drugiej strony*). Cham! Cham!ADAM. Czekajcie, bobaki, tak nie można. Trzeba to ułożyć (*zastanawia się*). Krówka poszła na spacer

i zgubiła się. Pieski będą szukać krowy.

ADZIO i EDZIO (*skaczą z radości*). Dobrze! Dobrze!ADAM. Idźcie tam... (*wskazuje drzwi od gabinetu*). Tymczasem krówka się schowa.EDZIO. Gdzie się schowa? (*włożył paluszek do ust, z głębokiego namysłu*).

ADAM. Wyjmij paluszek... Właśnie, że nie powiem, gdzie... Pieski muszą szukać i znaleźć...

(*Odprowadza ich do drzwi, zamyka je, a potem wraca, szuka wzrokiem miejsca, gdzie mógłby się ukryć, — i decyduje się wreszcie: szybko wchodzi pod duży stół, przyślonięty serwetą*).(*Za chwilę Adzio i Edzio wpadają z głośnem szczeniem. Rozglądają się, i nie widząc ojca, milkną*).EDZIO (*szeptem*). Gdzie papa?ADZIO (*tak samo szeptem*). (*Wskazuje na drzwi w głębi, od przedpokoju*). Pewno tam! Czekaj... Ty się schowasz tu... (*prowadzi go za portyerę, zwieszającą się nad drzwiami w głębi*), a ja z drugiej strony... Jak się tatuś pokaże, to wyskoczymy i będziemy gryźć!(*Kryją się obaj z dwóch stron za portyerami*).

SCENA 5.

CIŻ — PREZES.

(*Po krótkiej chwili, w drzwiach w głębi zjawia się prezes, w tużurku, rękawiczkach, z cylindrem w ręku. Obaj malcy wypadają ze swych kryjówek, i sądząc, że to ojciec, poczynają go szarpać z głośnem szczeniem. Prezes zachwiał się, z przerażenia, na niezbyt pewnych nogach*).

ADZIO. To nie krowa!

EDZIO (*krzyknął*). O!...(*Adzio i Edzio umykają prędko do gabinetu*).(*Prezes, nie zdoławszy całkowicie ochłonąć z wrażenia, zbliża się do stołu i kładzie cylinder. W tym samym momencie z pod stołu ryknie głośnie i przejmująco pan Hamelbein, ojciec*).

ADAM. Muu!

(*Prezes odskoczył od stołu, jak oparzony. Z pod stołu, z głośnym ponownym rykiem wysuwa się Hamelbein*).

PREZES — ADAM.

PREZES (*przestraszony*). Co to jest?ADAM (*uśmiechnięty*). To ja... Niech się pan prezes nie boi... Moje uszanowanie...PREZES (*cofa się, w przestrachu*). Co pan tam robił?ADAM. Bawiliśmy się w pieski... Niech się prezes nie boi... (*ścisła go serdecznie za rękę, którą tamten dość nieufnie podaje*). Proszę, niech pan siada... (*życzliwie*). Cokolwiek się prezes przestraszył...PREZES (*z godnością*). Nie spodziewałem się, że pod stołem...ADAM. Ja lubię się pobawić z moimi bobakami... tak, bez ceremonii... (*siadają*). Pan prezes lubi dzieci?PREZES (*sucho*). Nie.ADAM (*stropiony*). A...(*Wchodzi Hrabina, za nią August i Roman*).

SCENA 6.

ADAM — PREZES — HRABINA — AUGUST — ROMAN.

(*Hrabina muska pięćdziesiątkę, usiłuje wszakże, przy pomocy dobrych kosmetyków utaić jej znaki; włosy ma bardzo złote. August pulchny, różowy, kwitnący zdrowiem, Roman blade, wymokły; obaj ubrani bardzo starannie, w strojach żakietowych*).HRABINA (*trzępiotowata*). Dzień dobry panom! (*powitania*) (*do Hamelbeina*). Już zgaduję, co pan myśli: ta starsza osoba zanadto otacza się młodymi ludźmi... (*do Augusta i Romana*). Mówię wam, wy mnie kompromitujecie. Co powie na to prezes?PREZES (*sucho*). Mnie to nie obchodzi.HRABINA (*nieco zrażona, zwraca się do Adama*). Byli u mnie na śniadaniu, potem pojechaliśmy razem do Łazienek. Ale pan Romcio był bardzo niegrzeczny. Bardzo.ADAM (*dowcipny*). Co pan zrobił pani hrabinie?HRABINA (*pieszczotliwie*). Teżo nie powiem. Nie powiem, prawda, panie Romciu? Gdzież pani Ewa?(*W drzwiach od salonu ukazują się Ewa i Krystyna*).

A i pani Kryśia. Co za miłe spotkanie!

(*Powitania*).

SCENA 7.

CIŻ — EWA — KRYSZYNA.

KRYSZYNA. Mówiła mi pani dawniej poprostu: Kryśiu!

PREZES (*wita się z Ewą i Krystyną*). Pani Hrabina była wtedy od pani znacznie starszą.

HRABINA (*objęła go złem spojrzeniem*). Byłaś wtedy młodą panienką, ja — mężatką. Teraz ty jesteś mężatką, ja — rozwódką. Słyszałam już, że jesteście w Warszawie.

KRYSTYNA. Pani nic się nie zmieniła.

HRABINA (*kontenta*). Nie wie-rzę... czas jest nietościwy... Ale, proszę cię, mów mi także: ty.

KRYSTYNA (*śmieje się*). Nie będę śmiała.

HRABINA (*wskazuje młodych ludzi*). Oni mówią mi: ciociu. Prawda, ty może ich nie znasz?

ADAM (*któremu Ewa dała znak, żeby przedstawił Krystynie młodych ludzi*). Panj pozwoli, pan Borski (*August kłania się*), pan Koskiewicz (*Roman czyni to samo*).

HRABINA (*do Ewy*). Będziemy radzić nad naszymi nieszczęśliwymi dziewczętami?

EWA. Za chwilę, proszę pani. Jeszcze spodziewam się paru osób. Mają przyjść pani Lola, panj Dzidzia, Leński... Przedtem państwo napija się herbaty...

HRABINA (*zwraca się do Koskiewicza*). Panie Romciu, niech mi pan odda mój woreczek...

AUGUST (*odsunął się z Ewą na przód sceny i półgłosem*). Czekalem wczoraj do szóstej...

EWA (*obejrzała się, czy nikt nie słyszy*) (*półgłosem*). Powiedziałałam panu odrazu, że nie będę mogła.

AUGUST. Otrzymała pani mój list?

EWA (*niespokojnie*). Kiedy?

AUGUST. Dziś.

EWA. Nie... (*stropiona*). Te listy wywołają kiedy katastrofę. Przez kogo pan posłał?

(*Zbliża się do nich Krystyna. Ewa zmienia ton*).

Pan nie znał mojej przyjaciółki? (*bierze Krystynę w pól*).

AUGUST. Nie miałem zaszczytu...

EWA. Pan August jest mistrzem tanga... Jak on tańczy, moja droga! Anioł!

AUGUST (*do Krystyny*). Pani tańczy tango?

KRYSTYNA (*śmieje się*). Nie... Na Wołyniu kultywujemy jeszcze walca.

AUGUST (*z ubolewaniem*). O... Ale pani wogóle lubi tańczyć?

KRYSTYNA. Lubię. Dlaczego pan pyta?

AUGUST. Tak...

HRABINA (*z głębi pokoju*). Panie Guciu! Pan Romcio znów zachowuje się nieprzystojnie...

AUGUST (*skłonił się Krystynie i Ewie*). Przepraszam... (*idzie do Hrabiny i Romana*).

KRYSTYNA (*do Ewy, z uśmiechem*). To on?

EWA (*nie przeczy*). Podobą ci się?

KRYSTYNA (*bez przekonania*). Owszem... bardzo przystojny.

EWA. Wiesz, w rozmowie może nie jest błyskotliwy. Ale pisze listy!

KRYSTYNA (*śmieje się*). Ewo! znasz stary aforyzm?

EWA. Że nic tak nie plamj ko-

biety, jak atrament? Nie obawiaj się... ja nigdy nie piszę... Lecz jego listy są takie poetyczne!

KRYSTYNA. Poetyczne? Nigdybym nie przypuściła...

EWA. I on wszędzie bywa, w najlepszych towarzystwach. Będzie należał do klubu. Wiesz, z kim on przedtem? Z księżną Cesią... (*spojrzała, oczekując wrażenia*). Sama rozumiesz, moja droga... (*postrzega wchodzącą do salonu panią Dzidzię*). O! pani Dzidzia! (*idzie na spotkanie młodej kobiety*).

Dalszy ciąg nastąpi.

Książeczka o „Panu Andrzeju“:

Wielu wybitnych działaczy polskich ubiegłego stulecia czeka jeszcze na swoje monografie. Tylko ks. Poniatowski i Mochnecki pociągnęli żywą uwagę historyków i wywołali po dwie monografie każdy. Pozatem ma swoją monografię Lubecki, znakomite dzieło prof. Smolki, i Wielopolski, choć czterotomowa praca Lisickiego o żelaznym margrabim jest raczej apologią, a nawet apoteozą, aniżeli chłodnym studium naukowego badacza.

Z wybitnych postaci dziewiętnastego wieku o poważne studia monograficzne napraszają się przede wszystkim Czartoryski, Lelewel, Władysław Zamoyski i Andrzej Zamoyski.

Zwłaszcza zagadkowa postać „pana Andrzeja“, przez ćwierć wieku najpopularniejszego człowieka w Polsce, rodzaj bożyszczka szlachty i stolicy, mającego nieograniczone zaufanie narodu, nie przestaje nas do dnia dzisiejszego drażnić przez to wszystko, czego nie wiemy o jego roli w 1862 r., i przez to, czego nam brakuje do zrozumienia tak fatalnego dla kraju antagonizmu najznakomitszych dwóch ludzi epoki.

Każdy przyczynek do tej sprawy, każdy promyk w tę ciemnię wpuszczony z zadowoleniem powitamy. Z zainteresowaniem też bierzemy do ręki małe dziełko p. Cezarego Łagiewskiego: „Andrzej Artur Zamoyski“, wydane w seryi „Życiorysy“ przez księgarnię W. Jakowickiego, w którym autor nagromadził wiele szczegółów, a nawet, do źródeł sięgnawszy, niejedną wydobyl na jaw rzecz nową. Tę przedewszystkiem, drobną ale sensacyjną, że „Pan Andrzej“ otrzymał na chrzcie świętym imię — Artura. Szanując tradycję i w rodzinne ściśle sprawy nie pragnąc wnikać, autor nazywa go stale Andrzejem Arturem Zamoyskim.

W tej ściśle i pełnej faktów monografii działalność polityczną Zamoyskiego szczególnie nas interesuje. P. Łagiewski nie rozwinął jej bardziej, aniżeli inne okresy życia znakomitego męża, niejedno nawet wprost pominął, innemu, na dokumentach oparcia nie mającemu, zaprzeczyl (jak spotkanie Zamoyskiego i Wielopolskiego w Dreźnie), tak że praca jego nie przynosi w tym kierunku żadnego światła. Co więcej, portret pana Andrzeja zamazuje się w tem miejscu pod ręką portrecisty przez publicystyczny ton, przez żywą niechęć autora do Wielopolskiego, i nawet przez niczem nie uzasadnione twierdzenie o stałej, dawnej i do końca trwającej nienawiści i pogardzie, jaką miał Zamoyski dla Wielopolskiego. Tej nienawiści i pogardy nietylko w historii, ale nawet w legendzie nie spotkaliśmy. W sprawach społecznych ci ludzie szli jakiś czas razem, a Wielopolski należał do koła założycieli „Roczników“, stworzonych przez Zamoyskiego. Politycznie Zamoyski nie chciał wziąć ugodowej roli na siebie, do której się Wielopolski tak pokwapil. Ale uważał, że ktoś tę rolę przyjąć musi. Jego program polityczny, z samych negacyi złożony, brzmiał: „Niczego się nie wyrzekać, — powstania nie robić, — Wielopolskiemu nie przeszkadzać!“

Wielopolski był bardzo niesympatycznym osobiście człowiekiem, a jako mężowi stanu brakowało mu całkowicie publicznego wyrobienia i elementarnej zręczności. Ale w obu sprawach, które go tak niepopularnymi uczyniły, w sprawie ordynacyi myszkowskiej i biblioteki Świdzińskiego, miał za sobą nietylko prawo, ale i dobrą wolę. Zamoyski mógł mieć do niego niechęć i niesympatyę, mógł i gniew czuć za banicję, która go usuwała zresztą wtedy, gdy w kraju istotnie taki człowiek nie

miał w tym momencie nic do roboty, skoro jego program z samych „nie“ się składał. Ale nienawiść?! Ale pogarda?! Jeżeli na moment w duszy jego i powstały, — na co pragnąłbym dowodów, to prędko, w bólu narodowym, spowodowanym klęskami popowstaniowymi, rozpuściły się.

Oddaje należne pochwały pracy

p. Łagiewskiego. Ale nie mogę nie wyrazić żdziwienia, że namiętności z przed pięćdziesięciu laty wprowadza on do swego dziełka nie jako obiekt, oddany analizie i rozwadze, lecz jako dyrektywę i natchnienie, które muszą historyczną perspektywę zaciemnić i wypaczyć.

Ad. Wierzynek.

Józef Conrad.

Przekład z angielskiego
przez H. J. P.

W oczach Zachodu.

2

Przez całe swoje życie Razumow raz tylko zetknął się z księciem.

Miało to pozór przypadkowego spotkania u adwokata, który mu doręczał jego pensyjke. Przybywszy na wezwanie tego prawnika, Razumow zastał w jego gabinecie wysokiego para z siwymi faworytami, do którego prawnik zwrócił się uniżenie, mówiąc: „To mój pupil, Wasza Ekscelencyo. Jest to jeden z najbardziej obiecujących studentów St. Petersburgskiego Uniwersytetu“.

Ku swemu najwyższemu zdziwieniu, Razumow ujrzał białą, kształtną rękę wyciągającą się w jego stronę. Zmieszany ujął ją zlekka, a uszu jego doleciały jakieś półgłosem wymówione słowa, z których rozróżnił tylko słowa: „Zadowolony“ i „Trwaj“. Ale najbardziej zdumiewającą rzeczą było, że młodzieniec uczuł nagle wyraźny uścisk białej, kształtnej ręki, niby jakiś tajemny znak. Doznał tak szczególnego wstrząśnienia, że serce zamarło mu w piersiach. Gdy podniósł oczy, arystokratyczny nieznajomy odsunawszy na bok adwokata skierował się ku drzwiom i wyszedł.

Adwokat czas jakiś porządkował papiery na biurku.

— Wiesz, młodzieńcze, kto to był? — zapytał nagle.

Razumow, który jeszcze nie mógł złapać oddechu, wstrząsnął w milczeniu głową.

— To był książę K... Dziwisz się, co on mógł robić w takiej dziurze, jak moja kancelarya? Ha! cóż? Tacy wielcy panowie mają swoje słabości, jak zwykli śmiertelnicy. Ale gdybym był tobą, Kiryło Sidorowicz — ciągnął dalej ze szczególnym naciskiem na tak zwane „otczestwo“ — nie chwaliłbym się tą znajomością. Byłoby to nierozsądkiem z twojej strony, Kiryło Sidorowicz! O! tak!... mogłoby być nawet niebezpiecznem dla twojej przyszłości.

Twarz Razumowa płonęła; w oczach mu pociemniało.

„Ten człowiek — pomyślał — „On“.

Od tej pory Razumow przyzwyczaił się określać w ten sposób w myślach nieznajomego o siwych, jedwabistych faworytach. Od tej pory również przechodząc arystokratyczną dzielnicą, przyglądał się z zajęciem wspaniałym powozom i zaprzęgom z liberyą księcia K. na koźle. Raz zobaczył księżnę wysiadającą z karety i wchodzącą do sklepu w towarzystwie dwóch dziewczynek, z których jedna była o głowę wyższą od drugiej. Obie były jasnowłose; miały błękitne, roześmiane oczy i zaróżowione od mrozu twarzyczki. Przeszły wpoprzek chodnik tuż koło Razumowa, a on poszedł dalej, uśmiechając się zlekka sam do siebie: „Jego“ córki. Podobne były do „Niego“. Razumow uczuł jakąś szczególną życzliwość dla tych dziewczynek, które nigdy o jego istnieniu wiedzieć nie będą. Niezadługo powychodzą za mąż za jakichś generałów lub kammerherów i będą mieć z kolei dzieci, które może kiedyś usłyszą o nim, jako o sławnym, starym profesorze, dekorowanym, chlubi całej Rosyi... To przecież także coś znaczy.

Wracając do domu w dzień zamachu na prezesa ministrów, Razumow postanowił koniecznie uzyskać srebrny medal. Nazwisko laureata będzie ogłoszone w pismach i „On“ je zapewne przeczyta. Na tę myśl aż przystanął na schodach ze wzruszenia.

— Et, głupstwo — pomyślał wnet — ale medal to dobra rzecz na początek. Trzeba się wziąć do roboty.

I w najlepszym usposobieniu wszedł do swego pokoju, znajdującego się na czwartym piętrze. Ale za ledwie zamknął drzwi, osłupiał. Pod

piecem, pobłyskującym w pomroce białymi kaflami, stała jakaś czarna postać w długich butach i karakułowej czapce na głowie. Postać ta postąpiła ku niemu parę kroków, pytając spokojnym, poważnym głosem, czy drzwi od sieni są zamknięte. Teraz dopiero Razumow odzyskał mowę.

— Haldin!... Wiktor Wiktorowicz!... To wy? Tak. Drzwi są zamknięte. Ale, doprawdy, nie spodziewałem się zastać was tutaj!

Wiktor Haldin, jeden z najstarszych wiekiem studentów uniwersytetu, nie odznaczał się gorliwością w naukach. Na wykładach prawie że go nie widywano; miał złą markę u władz, jako „niespokojny duch“. Ale wśród kolegów cieszył się ogromnem uznaniem i wpływem. Razumow nie żył z nim nigdy blisko. Spotykali się czasem na koleżeńskich zebraniach, a raz nawet posprzeczały się ze sobą.

Razumow nie był rad tym niespodzianym odwiedzinom. Także się wybrał tamten na pogawędkę, wtedy kiedy on miał taką ochotę do pracy! Ale ponieważ nie można było pozbyć się Haldina, jak pierwszego lepszego, Razumow, siłąc się na gościnność, poprosił go siedzieć i poczęstował papierosem.

— Kiryło Sidorowicz — rzekł Haldin, zrzucając swą karakułową czapkę. — Nie jesteśmy może z jednego obozu. Ty bierzesz życie bardziej filozoficznie. Jesteś małomówny, ale nie spotkałem nikogo, kto by śmiał wątpić w szlachetność twoich uczuć. Masz charakter silny, a takie charaktery są zawsze odważne.

Słowa te pochlebily Razumowowi i zaczął coś szeptać z zawstyżeniem, że bardzo go cieszy to dobre mniemanie Haldina, lecz ten podniósł rękę.

— Mówiłem to sobie — ciągnął dalej — gdym rozmyślał o mojem położeniu tam nad rzeką ukryty w składzie drzewa. „To silny charakter“ powiedziałem sobie, „on słów na wiatr nie rzuca“. Twoja wstrzeźliwość zachwycała mnie zawsze, Kiryło Sidorowicz. Więc usiłowałem przypomnieć sobie twój adres. I patrz — co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Twój dwornik rozmawiał właśnie z jakimś sankarzem po drugiej stronie ulicy, gdym wchodził. Nie spotkałem na schodach żadnej żywej duszy. A gdym już znalazł się na czwartym piętrze, zobaczyłem twoją gospodynię, wychodzącą z twego mieszkania. Ale ona mnie nie widziała. Przeszła się i skierowała się do swoich drzwi, a wtedy ja wsunąłem się tu niepostrzeżenie i czekam na ciebie od dwóch godzin.

Razumow słuchał ze zdumieniem, ale nim zdążył otworzyć usta, Haldin dodał, wymawiając z wolna każdy wyraz:

— To ja wyprawilem dziś rano prezesa ministrów na tamten świat.

Razumow ledwo zdołał powstrzymać okrzyk zgrozy. W gniewu oka stanęły mu w myśli fatalne skutki zetknięcia z taką zbrodnią: zwichnięta przyszłość, zmarnowane życie i wszystko to streściło się w nawpół rozpaczliwej, wpół sarkastycznej refleksyi:

— Otóż i po moim srebrnym medalu!

Haldin poczekawszy chwilę ciągnął dalej:

— Nie mówisz, Kyrjo Sidorowiczu? Rozumiem twoje milczenie. Oczywiście, nie mogę się spodziewać, żebyś z twoim angielskim chłodem rzucił mi się na szyję. Ale mniejsza o twój chłód zewnętrzny. Masz dość serca, by się o nie obył te jęki i zgrzytania zębów, jakie ten człowiek wywoływał w całym kraju. Trzeba było kres temu położyć. To był człowiek niebezpieczny — człowiek przekonań. Jeszcze trzy lata jego działalności, a bylibyśmy się cofnęli o pięćdziesiąt lat niewoli — a ile dusz straconych, ile zmarnowanych egzystencji przez ten czas?

Głos mu się zmienił.

— Tak, bracie; zabiłem go — dodał posępnie. — Cóż było robić!

Razumow opadł na krzesło. Był pewny, że lada chwila chmara policyantów wtargnie do wnętrza. Toż ich już tam tysiące biega po mieście, szukając tego człowieka, który chodzi tu, tam i napowrót po pokoju. A Haldin mówił w dalszym ciągu miarowym, spokojnym głosem, od czasu do czasu z wolna wykonywując jakiś ruch ręką, jakby dla podkreślenia pewnych słów.

W ten sposób opowiedział Razumowowi, jak już od roku nosił się z tą myślą, a tygodnie całe już jednej nocy jak się należy nie przespał. On i „drugi“ otrzymali wiadomość o zamiarach ministra późnym wieczorem poprzedniego dnia od „pewnej osoby“.

On i ten „drugi“ przygotowali swoje „maszyny“ i postanowili nie zmrużyć oka, dopóki „rzecz“ się nie stanie. Włóczyli się więc po ulicach przez całą noc w milczeniu. Gdy przypadkiem napotkali patrol, brali się pod ręce, udając pijanych chłopów i rozmawiając ochryplemi, pijackimi głosami. Poza tem milczeli, chodząc bez przestanku. Wszystko było już poprzednio omówione i postanowione pomiędzy nimi. O świcie udali się na miejsce, koło którego, jak wiedzieli, sanki miały przejeżdżać. Gdy je spostrzegli, pojechali

się jakimś krótkim słowem i rozdzielili się. „Tamten“ pozostał na trotuarze; Haldin stanął trochę dalej.

Rzuciwszy swoją „maszynę“, odbiegł, ale wnet dogonił go tłum uciekający w panicznym strachu po drugim wybuchu. Haldin zwinął kroku i dozwolił się wyminąć, poczem skręcił na lewo w jakąś pustą uliczkę. Był sam.

Było coś zdumiewającego w łatwości, z jaką mu się to wszystko powiodło. Wprost nie dowierzał losowi, że oto dokonał dzieła, że żyje i jest ocalony. Ogarnęło go przytem nieprzepatrze znużenie, tak, że była chwila, kiedy chciał się położyć na bruku i usnąć. Ale to minęło szybko. Zaczął iść prędzej, kierując się w tę ubogą dzielnicę miasta, gdzie mieszkał Ziemianicz.

Ten Ziemianicz, jak Razumow ze słów Haldina wypośredkował, był miejskim chłopem, któremu się powiodło i trudnił się wynajmowaniem sanek i koni. Haldin przerwał tu opowiadanie i wykrzyknął:

— Ach! to typ! Najlepszy woźnica w całym Petersburgu! I ma taką trójkę!... O! to człowiek!

Otóż ów Ziemianicz zobowiązał się zawieźć bezpiecznie każdego czasu jedną lub dwie osoby na którąś z pomniejszych stacyjek południowej kolei. Ale nie było czasu uprzedzić go o tem. Zazwyczaj można go było zastać w pewnej garkuchni pod rogatkami. Gdy jednak Haldin przyszedł tam, Ziemianicza nie było i spodziewano się go dopiero wieczorem. Haldin więc zaczął błąkać się po mieście.

Ujrawszy bramę jakiegoś składu drzewa otwartą, wszedł, by znaleźć osłonę od wiatru, który dał wściekle od rzeki. Wielkie, kwadratowe sęgi porąbanego drzewa, obciążone śniegiem, wyglądały jak wiejskie chaty. Haldin przykucnął za takim sęgiem, ale wnet odkrył go tam stróż miejscowy. Był to starowina w dwóch wojskowych, podartych mundurach, nałożonych jeden na drugi, i z pomarszczoną, jak zimowe jabłko, twarzą, podwiązaną brudną, czerwoną chustką. Zrazu rozmawiał z nim życzliwie, lecz nagle zasepił się i zaczął ni stąd ni zowąd wrzeszczeć:

— Czego się tu włóczysz, przybłodo jakiś! Znamy się na takich ptaszkach. Chłop młody i zdrów, jak rydz, będzie mi się tu wylegiwał! I nawet pijany nie jesteś! Wynos się, pókiś cały! Żle ci z oczu patrzy; ot co!

Haldin zatrzymał się przed siedzącym nieruchomo Razumowem. Było coś nieopisanie śmiałego, wyzywającego w jego smukłej, szczup-

łej postaci i białem czole, nad którym jasne włosy jeżyły się bujnie.

— Nie podobały mu się moje oczy — rzekł. — I oto... jestem tutaj.

Razumow zdobył się na spokój.

— Ale, z przeproszeniem, Wiktorze Wiktorowiczu... My się tak mało znamy... Nie pojmuję, dlaczego wy do mnie...

— Kwestya zaufania — rzekł Haldin.

Słowa te zamknęły usta Razumowowi.

— I oto... jesteś tutaj — zamruczał przez zęby.

Tamten nie zauważył, z jaką złością były wymówione te wyrazy. Nie podejrzewał jej nawet.

— Tak, I nikt nie wie, że tu jestem. A gdyby mnie schwytano, nikomu na myśl by nie przyszło podejrzewać ciebie. Jak widzisz, to jest wielce dodatnia strona sprawy. Zresztą — mówiąc do człowieka tego pokroju, co ty, mogę być szczerym. Przyszło mi na myśl, że ty — Kyrjo Sidorowiczu, nie masz nikogo z rodziny, że w najgorszym razie, niktby na tem nie cierpiał. A mamy już dosyć w Rosyi zakrwawionych serc. I ostatecznie, to tylko przypuszczenie, bo skąd, jakim sposobem dowiedziałoby się, że tu byłem? Jeżeli mnie złapią, to ja potrafię milczeć, bez względu na to, co ze mną wyprawiać mogą — dodał posępnie.

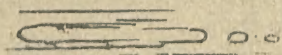
Zaczął znów chodzić po pokoju, podczas gdy Razumow siedział wciąż, jak zmiażdżony.

— Pomyślałeś, że — — wymówił, dławiąc się oburzeniem.

— Tak, Razumowie. Tak, bracie. Kiedyś i ty pomożesz nam na swój sposób. Uważasz mnie za terrorystę, za burzyciela. Ale pomyśl, że istotnymi burzycielami są ci, którzy gnębią ducha postępu i prawdy, nie zaś mściciele, którzy poprostu zabijają ciała prześladowców ludzkiej godności. Tacy ludzie, jak ja, potrzebni są, żeby zrobić miejsce dla takich trzeźwych myślicieli, jak ty. Ha! my wszyscy poświęciliśmy nasze życia, niemniej radbym się ocalić, jeżeli to jest możliwe. Nie o moje życie mi chodzi, lecz o możliwość działania. Za nic, nie chciałbym żyć beczynnym. Och! Nie sądź mnie błędnie, Razumowie. Ludzie tacy, jak ja, nie rodzą się na kamieniu. A przytem tak czyn, jak dzisiejszy, tembardziej przeraża gnębieli, jeżeli sprawca zniknie bez śladu. Wtedy siedzą w swoich gabinetach i pałacach i drżą ze strachu. Otóż ty, bracie, dopomóż mi zniknąć. To ci przyjdzie z łatwością. Pójdiesz poprostu do Ziemianicza tam, gdzie byłem dziś rano, i powiesz mu: „Ten, co wiesz, potrzebuje sanek i doskonałych koni. O wpół do pierwszej

w nocy niech staną przy siódmej latarni na lewo, licząc od górnego końca Karabelnej. Gdyby nikt nie wsiadł, niech sanki objadą w koło i za jakie dziesięć minut niech wróca na to samo miejsce“.

Dalszy ciąg nastąpi.



Z literatury.

Budowa świątyni.

Praktyczne wskazówki przy wznowieniu świątyni i odbudowie kościołów, oraz ozdobieniu ich wewnątrz napisał ks. Leon Gościcki, tajny szambelan dworu papieskiego, wydając je w formie książkowej p. t. „Budowa świątyni“. Książka ta powinna się znaleźć w rękach wszystkich tych proboszczów, którzy będą zmuszeni odbudowywać zrujnowane świątynie. Wogóle władze arcybiskupie powinny zwrócić uwagę całej podwładnej sobie diecezyi na pracę ks. Gościckiego. Praca ta jest przepełniona troską o piękno świątyni polskiej, a równocześnie wskazuje na niezwykle zmyśl praktyczny, z jakim zostały ułożone wzory kontraktów i cały poradnik co do wyboru materiałów. Ks. Gościcki uważa, że najlepszym rozwiązaniem trudności w wyborze planu budowy świątyni jest posilkowanie się konkursem, lub zużytkowanie planów już wystawianych na jakim konkursie. „Droga konkursu jest zawsze najodpowiedniejsza; lecz aby konkurs miał powodzenie, musi być fachowo opracowany i ogłoszony, przytem musi mieć powagę dla konkurujących co do doboru sędziów, t. j. ogłoszony przez odpowiednią instytucję“ (Str. 8). Ks. Gościcki przy tej sposobności słusznie poleca „Koło Architektów“ przy Stow. Techników i „Towarzystwo Opieki nad Zabytkami przeszłości“. Rozmiar kościołów powinien być przytem w ten sposób obliczony, „by nawa prócz presbiterium, zakrystyi, oddzielnych kaplic i przedsionka miała tyle kwadratowych łokci polskich, ile wynosi trzecia część wszystkich ludności danej parafii“. Ks. Gościcki poleca gorąco dla małych parafii z 4,000 ludnością kościoły jednonawowe.

Najmocniejszą stroną książki są jednak uwagi praktyczne ks. Gościckiego. Uczy on, jak postępować z architektem, murarzem, jak dobierać cegłę i zawsze daje rady zbawienne i snadź na bezpośredniemu doświadczeniu oparte. Ciekawe są też uwagi ks. Gościckiego co do ogrzewania świątyni, rzeczy u nas niepraktykowanej jeszcze.

Książkę ks. Gościckiego należy gorąco polecić wszystkim tym ludziom, którzy siłą rzeczy będą zmuszeni zając się odbudową naszych świątyni po wojnie. Oszczędzi ona wielu złych doświadczeń, uchroni przed niepotrzebnymi wydatkami i pozwoli na racjonalną odbudowę.

Pamiętka ogłoszenia niepodległości.

Ruchliwa i przedsiębiorcza firma „T-wo Akcyjne S. Orgelbranda S-ów“ wydała estetyczny Kalendarzyk na rok 1917 z naszymi insygniami państwowymi. W kalendarzyku tym znajdujemy odezwę gen. von Beselera z proklamacją w imieniu dwóch monarchów państwa polskiego. Następnie dano przemówienie rektora Brudzińskiego oraz mowę gen. guber. von Beselera do delegacyi na Zamku. In extenso też podano treść mowy rek. Brudzińskiego na posiedzeniu uroczystym w Radzie Miejskiej dn. 5 listopada 1916 r. Załączono też reskrypt cesarza Franciszka Józefa o wyodrębnieniu Galicyi. Jako uzupełnienie szczegółowo opowiedziano według „Deutsche Warschau Zeitung“ przebieg „Posłuchania w Berlinie i Wiedniu“, na którym byli obecni: dr. Brudziński, p. Lempicki, p. Chmielewski, p. Dzierzbicki, prof. J. Dickstein, hr. Ronikier i ks. Radziwiłł.

Piękno i ból w Ojcu Zadżumionych.

Na posiedzeniu Tow. Naukowego Warszawskiego dnia 13 października r. b. prof. B. Chlebowski przedstawił rozprawkę p. Bohdana Nawroczyńskiego p. t. „Piękno i ból w Ojcu Zadżumionych i w innych poematach bólu rodzicielskiego“. Po rozważaniach natury teoretycznej nad zagadnieniem tragedyi, z których wypływa, że „konieczność przezwyciężenia bólu w dziele sztuki wynika z najogólniejszych warunków twórczości estetycznej“, p. Nawroczyński przechodzi do właściwej materii. Chodzi mu o sprawę „w jaki sposób Słowacki przezwyciężył ból w swoim poemacie i jakie miejsce należy wyznaczyć z tego względu jego dziełu w pośród innych poematów bólu rodzicielskiego“. P. Nawroczyński komunikuje więc: „Z pośród tych innych poematów uwzględnimy przytem tylko te, które miały wpływ na genezę Ojca Zadżumionych. Wskazał je wszystkie F. Hoesick w swojej pracy p. t. „An-helli i trzy poematy“. Będą to dzieła następujące: 1) Treny Kochanowskiego, 2) Wiezieni Czylonu Bairona, 3) Wyjatek z Boskiej Komedyi Danta, mówiący o śmierci Ugolina, 4) Księga Hioba i 5) Fragment o Niobie z przemian Owidiusza“. Rezultatem tej analizy będzie sąd:

„Nasz poeta, obdarzony mniej głębokiem poczuciem etycznym od twórcy Boskiej Komedyi, bynajmniej nie odczuwał tego, aby rozdzwięk etyczny, tkwiący w cierpieniu bez winy i bez racyi wyższej, domagał się koniecznie rozwiązania“ (Str. 49). I w konsekwencji dowiemy się, że „sposób opracowania tematu staje się ważniejszy od samego tematu“. Dowiemy się też od p. Nawroczyńskiego, że „dewizą tego poematu mogłyby być słowa, które Kordyan wypowiedział o sobie na szczycie Mont-Blanc: „Posagu piękność mam — lecz lampy brak“.

Jak widzimy z tego wyniku analizy, p. Nawroczyński w stosunku do Słowackiego zajmuje tradycyjne stanowisko, którego najgłośniejszym przedstawicielem jest p. J. Tretiak.

Analogie są bardzo dobre do wyjaśnień. Jeżeli jednak bierze się je za decydującą podstawę sądów, zawsze mylą. Każdy artysta jest zamkniętym w sobie światem i należy go brać pod jego własnym kątem widzenia rzeczywistości. Należałoby więc ujmować Słowackiego nie pod perspektywą „mniej głębokiego poczucia etycznego“, lecz patrzeć na jego twórczość z punktu widzenia jego osobistego odczucia moralnego świata. Nie czyni to nikomu ujm, że wartościuje inaczej, nie można go posadzać o głębokość lub płytkość — trzeba umieć znaleźć różnicę i tę różnicę podnieść do godności artystycznego widzenia rzeczywistości.

Bajka o człowieku szczęśliwym.

Tom opowieści o człowieku szczęśliwym! Jerzy Żuławski nie zna jednak szczęścia. Widzi zawsze niezadowolenie, maluje niepokój i pokazuje na dnie kielichów wezbranych szumiącym winem jad ukryty, jad refleksyi. Pogodzi wprawdzie Hamleta z Don Juanem, ale pogodzi przez dziwną maksymę Don Quixota, że „najwyższą mądrością i jedynym prawdziwym szczęściem na ziemi jest mieć w sobie taką potęgę stwarzania złudzeń, iżby ich żadna rzeczywistość, choćby najbardziej brutalniejsza, zniweczyć nie mogła“. Gdy zaś opowie o złotoustym greckim Hegasiaszu, jak w Aleksandryi kazał i pobudził do śmierci gromadę ludzi, sławiąc życie — to cała koncepcja zdradzi znów Żuławskiego tęsknotę za człowiekiem szczęśliwym. Szukać go będzie w promieniu wieków, pojedzie nawet do Weroni na grób kochanków Romea i Julii, by w miłości ich znaleźć potwierdzenie swoich tęsknot za człowiekiem szczęśliwym. W Rzymie, w Szwajcaryi, a nawet w przełożonym liście Seneki do Lucylusza przeziiera zawsze przytem zachodnio-europejskie ukochanie żywiołu, opanowanego przez Seneki maksymę „ów-ci jest najszczęśliwszy i samego siebie posiada bezpieczny, kto jutra bez niepokoju wygląda“.

Tom wykwintnych intelektualnie opowieści Jerzego Żuławskiego zyska sobie napewno przyjaciół wśród ludzi, kochających piękno myśli. Zadumana nad szczęściem ludzkim stoi tu ona w całej krasie, patrząc w znikomość wszystkich rad, bo jednak może tylko Don Quixota potęgą stwarzania złudzeń jest najbezpieczniejszą krainą dla ukojenia ludzkich pragnień.

